

Korespondencje

„TU MÓWI GDAŃSK, NA FALI 1339 M...”

Otwarcie nowego studia rozgłośni gdańskiej w dniu 25 maja 1947 zapoczątkowało nowy etap pracy Polskiego Radia w Gdańsku, a zarazem było niewątpliwie ważnym momentem w historii radiofonii polskiego wybrzeża.

Działalność radiostacji gdańskiej ma już za sobą szereg miesięcy wyężonej pracy organizacyjnej, w czasie której ustawiczny rozwój i postęp pod względem technicznym i programowym jest dowodem, że grupa ludzi, która jeszcze w lecie 1945 do Gdańska przybyła, mimo rozlicznych trudności i przeszkód stanęła na wysokości zadania i umiała sprostać obowiązkowi rzeczywiście pionierskiej ekipy.

Działania wojenne nie oszczędziły dawnej gdańskiej radiostacji. W gruzach legło studio mieszczące się przy dawnym placu Burmistrza Zimera na Gdańskim Przedmieściu. Zniszczeniu uległa i sama radiostacja, a jedynie ocalała, choć silnie uszkodzona radiostacja wojskowa, znajdująca się na jednym ze wzgórz otaczających Gdańsk od strony południowej — Górze Gajowej. Tam też postanowiono zmontować nową polską radiostację gdańską. Tymczasem już w lecie 1945 rozpoczęto nadawanie próbnych audycji z radiowęzła, mieszczącego się wówczas w Gdańsku-Wrzeszczu przy ul. Grunwaldzkiej 18. Dnia 1 września 1945 rozpoczęła rozgłośnia gdańska swą pierwszą audycję, wysyłając w świat z Góry Gajowej program antenowy. Rzecz jasna, że był on początkowo nader skromny, obejmował krótką kronikę Wybrzeża, fragmenty muzyki z płyt gramofonowych i fragmenty literackich audycji. Z każdym tygodniem jednak udoskonalano audy-

cje i urozmaicano ich treść, starając się przede wszystkim zaznajomić z jednej strony przybywających do Gdańska i na Wybrzeże ludzi z przeszłością polską tych ziem, z morzem i morskimi zagadnieniami, żegluga i coraz silniej uwzględnianym w programach regionalizmem kaszubskim; z drugiej strony podawano tubylczej ludności polskiej piękną i barwną audycję polską, przepłatana polską muzyką, tak lekką jak i poważniejszą.

Z końcem roku 1945 był już względnie ustalony i zorganizowany program radiostacji. Wciągnięcie szeregu przebywających na Wybrzeżu literatów do słuchowisk radiowego programu, współpraca kilku naukowców pracujących w Gdańsku, coraz częstsze uwzględnianie audycji kaszubskich i liczne reportaże lokalne oraz bogata kronika sprawiała, że liczba radiosłuchaczy wzrastała bardzo silnie. Uwzględniano coraz bardziej audycje specjalne, dla dzieci czy dla młodzieży, współpracując w tym względzie ściśle z Kuratorium Okręgu Szkolnego Gdańskiego.

Przełomowym rokiem był rok 1946. Dwie, niewątpliwymi zdobyczami (tak, zdawało by się, prostymi w normalnych warunkach), są: zorganizowanie transmisji radiowych z szeregu nabożeństw, obchodów i uroczystości oraz wprowadzenie w miejsce wyłącznie dotychczas nadawanej muzyki z płyt gramofonowych — muzyki żywej. Coraz częściej też pojawiać się zaczęły w programach słuchowiska.

Od maja 1946 radiostacja gdańska uzyskała wreszcie możliwość bezpośredniej transmisji niektórych swych audycji na program ogólnopolski. Dla nale-

żytego zrozumienia problemów morskich i Wybrzeża było to od dawna już konieczne, gdyż jedynie w ten sposób żywe słowo, nadawane w odwiecznym polskim porcie, może bezpośrednio oddziaływać na liczną rzeszę radiosłuchaczy w całej Polsce.

Jeżeli sprawozdanie radiostacji gdańskiej za rok 1946 wymienia nadanych 3430 audycyj lokalnych oraz 46 audycyj ogólnopolskich, obliczając czas pracy rozgłośni na niemal 4700 godzin, to z jednej strony widać w tym olbrzymi wysiłek kierowników rozgłośni gdańskiej, z drugiej zaś znikomy wprost procent transmisji na falę ogólną w porównaniu z programem lokalnym.

Z natury rzeczy, a głównie z braku odpowiedniego studia (studio bowiem w tym czasie tworzyła zupełnie do tego celu nie przystosowana salka, gdzie odczytywali swe utwory prelegenci, gdzie równocześnie urzędowali speakerzy i gdzie nadawano słuchowiska czy koncerty), program radiowy w r. 1946 był głównie programem słownym. Na wspomniane około trzy i pół tysiąca audycji przypadało 1837 audycyj informacyjno-propagandowych, 815 literackich, 95 słuchowisk, a zaledwie 61 audycyj muzyki żywej i 295 audycyj muzyki mechanicznej.

Ta przewaga słowa nad dźwiękiem nie była korzystna dla radiostacji gdańskiej, była ona jednak nieunikniona ze względów technicznych.

Tak przedstawiał się bilans dotychczasowej działalności rozgłośni gdańskiej.

A jakie są zamiary na przyszłość tej tak ważnej dla rozpowszechniania polskiej morskiej kultury placówki?

Stwierdzenie, jakie padło z ust naczelnego dyrektora Polskiego Radia Wilhelma Billiga 25 maja br. w czasie otwarcia nowego studia, że radiostacja gdańska, jako radiostacja morska, ma podwójne zadanie do spełnienia: związane terenu swej działalności z całym krajem i zainteresowanie Wybrzeża

problemami reszty ziem polskich — wyznacza program działalności radiostacji gdańskiej na dalszą przyszłość.

W realizacji tego programu stały dotychczas dwie poważne przeszkody: brak ścisłej współpracy radiostacji gdańskiej z innymi radiostacjami polskimi, oraz przewaga w audycjach gdańskich słowa nad muzyką. Obie one zostały już jednak niemal usunięte. Z jednej bowiem strony obecny program spleta się coraz silniej z programem ogólnopolskim i radiostacja gdańska transmituje liczne audycje szeregu polskich radiostacji z głębi kraju, przysyłając również coraz częściej własne audycje lokalne na ogólnopolską falę.

Drugą przeszkodę przewagi słowa nad muzyką usunęło otwarcie nowego studia w specjalnie na ten cel obecnie przystosowanym dawnym budynku radiostacji przy ul. Grunwaldzkiej 18. Nowe pomieszczenie obejmuje obszerną salę dla nadawania słuchowisk i koncertów, obok specjalne studio dla audycji literackich, a wreszcie pokój speakerów, wyposażony we wszelkie techniczne instalacje. Pokoik reżysera słuchowisk i inspektora studia wypełniają parter. Pierwsze piętro zajmują biura poszczególnych wydziałów.

W ten sposób rozgłośnia gdańska, kończąc dotychczasowy etap ciężkiej, pionierskiej pracy, staje już na poziomie przedwojennych rozgłośni. Należałoby jeszcze pomyśleć o wzmocnieniu jej zasięgu. Skoro w najbliższym już czasie radiostacja wrocławska ma otrzymać nową instalację o sile 50 kilowatów, a radiostacja toruńska o sile 25 kilowatów, byłoby nader pożądane, by ze względów już czysto propagandowych zasięg radiostacji gdańskiej był tak silny, by można jej audycje odbierać nie tylko w Polsce, lecz w całym regionie bałtyckim. Umiejętne zaś zorganizowanie programu muzycznego mogłoby wówczas spopularyzować rozgłośnię gdańską w szeregu państw obcych. Marian Pelczar. (*Gdańsk*)

OSIĄGNIĘCIA I TROSKI ŚLĄSKIEGO ŻYCIA KULTURALNEGO

„Troska o rozwój oświaty i kultury powinna iść równoległe z troską o chleb” — stwierdził niedawno na komisji skarbowo-budżetowej referent preliminarza budżetowego Ministerstwa Oświaty. Tymczasem nie trudno zauważyć, że troska o rozwój oświaty i kultury w Polsce pozostaje nadal — chociaż nie w tym stopniu, co przed wojną — daleko za troską o chleb.

Jak wszędzie w kraju, tak i na Śląsku z okazji dwulecia naszej pracy powojennej próbuje się zbilansować to, czego się dokonało w różnych dziedzinach życia. W porównaniu z dziedzinami gospodarczymi, w których łatwiej o cyfrowe podsumowania, w dziedzinie kultury oceniać i bilansować zawsze trudniej. Niemniej przy pewnych materiałach sprawozdawczych możliwa jest ogólna ocena wszystkich przejawów działalności kulturalnej.

Próby zbilansowania pracy powojennego dwulecia w województwie śląsko-dąbrowskim podjął się „Śląsko-dąbrowski Przegląd Administracyjny — czasopismo poświęcone zagadnieniom administracji publicznej i samorządu terytorialnego” rocznik II, nr 1, Katowice, styczeń 1947, oraz kwartalnik Instytutu Śląskiego „Zaranie Śląskie” (nr 1—2, styczeń—czerwiec 1947, rok XVIII). Pierwsza publikacja o typie informacyjnym stara się ująć całokształt życia w naszym województwie, i w tym celu zamieszcza artykuły sprawozdawczo-statystyczne, dotyczące wszystkich dziedzin życia politycznego i społecznego.

Ogrom materiału spowodował chyba, że sprawozdania tej publikacji są często pobieżne i niepełne. Poważny materiał sprawozdawczy, gruntownie opracowany, zawiera numer „Zarania”, który jednak obejmuje wyłącznie sprawy życia kulturalnego, za to poszerzone o teren województwa wrocławskiego.

Kiedy w styczniu 1946 r. pisaliśmy na tym miejscu o starcie i możliwościach

dalszego rozwoju życia kulturalnego na Śląsku*), cieszyły nas nadzieje, że wbrew niemalym trudnościom, odbudujemy gmach życia kulturalnego większy i wspanialszy od tego, który zrujnowała nam wojna i okupacja. Czy nadzieje te były realne, nie wypada dziś jeszcze w pełni osądzać; w wielu wszelako dziedzinach, podpadających pod pojęcie kultury, wystąpił u nas niezwykle żywy rozwój. Wyraża się to przede wszystkim w wielkim (w stosunku do Śląska przedwrzesniowego) ilościowo wzroście instytucji pracy kulturalnej: przeróżnych szkół, świetlic, instytutów, teatrów zawodowych, związków artystycznych, zespołów muzycznych itp.

Posiadamy dziś w województwie śląsko-dąbrowskim w zakresie szkolnictwa wyższego: w Katowicach — Wyższe Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych, Instytut Pedagogiczny, Państwową Wyższą Szkołę Pedagogiczną, Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną (Konservatorium), a w Gliwicach Politechnikę Śląską; w zakresie zaś szkolnictwa średniego: 70 gimnazjów i liceów ogólno-kształcących, 62 rozmaite średnie szkoły przemysłowe, w tym państwowe Technicum w Bytomiu i największą w Polsce szkołę przemysłową — Śląskie Zakłady Techniczne i Naukowe w Katowicach, 96 szkół handlowych, spółdzielczych, gospodarczych, zakłady kształcenia nauczycieli z blisko 3-tysięczną rzeszą uczni i uczennic; ze szkół artystycznych istnieje w Katowicach: powszechna szkoła muzyczna, Państwowe gimnazjum i liceum muzyczne (jedyne w tym rodzaju w Polsce); poza tym mamy szkoły muzyczne w Bytomiu, Gliwicach, Zabrze, Cieszynie, Bielsku, Będzinie, Chorzowie, Nowym Bytomiu, Sosnowcu, Rybniku i Opolu; w Katowicach czynna jest Państwowa Szkoła Sztuk Pięknych (rysunek, rzeźba, ma-

*) Por. „Humanizm czy technicyzm” — Przegląd Zachodni, nr 1, rok II, styczeń 1946.

larstwo, grafika, ceramika, metaloplastyka i architektura wnętrz), w Bielsku rozwija się szkoła malarstwa, rzeźby i grafiki, w Bytomiu Państwowa Szkoła Przemysłu Ceramicznego, a w Sosnowcu pracuje jedyna w Polsce szkoła choreograficzna; na terenie województwa istnieją 1642 szkoły powszechne z 390-tysięczną rzeszą młodzieży, zorganizowanych jest 8 Uniwersytetów Powszechnych i 6 Uniwersytetów Ludowych (z tego 4 na Opolszczyźnie); zorganizowano tu 16 kursów dla analfabetów, 730 kompletów kursów repolonizacyjnych, 40 placówek szkół średnich dla dorosłych.

Dziedzinę prac naukowych reprezentują: Instytut Śląski, Instytut Naukowo-Badawczy Przemysłu Węglowego w Katowicach, Hutniczy Instytut Badawczy im. Stanisława Staszica w Gliwicach, Państwowy Instytut Administracji Przemysłowej, Instytut Naukowej Organizacji i Kierownictwa, Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Katowicach, Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Opolu.

O życiu teatralnym decydują przede wszystkim teatry katowickie: Państwowy Teatr im. Wyspiańskiego oraz „Mała Scena“, dalej 3 teatry zawodowe na prowincji (Sosnowiec, Bielsko-Cieszyn, Opole); wreszcie teatry amatorskie, których liczba jest u nas chyba największa w porównaniu z innymi województwami, zorganizowały one w ciągu dwulecia około 2 tysięcy imprez.

Życie muzyczne skupia się wokół szkół muzycznych oraz wokół: Państwowej Filharmonii w Katowicach, Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, Biura Koncertowego Zw. Zaw. Muzyków, Opery Śląskiej z stałą siedzibą w Bytomiu; potężnie rozwinął się też ruch śpiewaczy, skupiony przy Zw. Śląskich Kół Śpiewaczych (184 chóry z 15 tysiącami śpiewaków); zespoły orkiestrowe istnieją przy każdej większej fabryce.

Twórczość plastyczną uprawiają i popularyzują poprzez wystawowe salony artyści plastycy, których grono na Śląsku składa się ze 180 czynnych ludzi sztuki (przed wojną kilku), zorganizowanych w oddziałach Zw. Zaw. Polskich Artystów Plastyków w Katowicach, Bytomiu, Bielsku, Cieszynie, Opolu, Gliwicach, Zabrzu i Sosnowcu. Zastanawiająco mała garstka, bo kilkunastu ludzi, tworzy tu życie literackie, mniej intensywne w pracy twórczej, więcej w akcji imprezowej. Posiadamy osiem muzeów (Bytom, Gliwice, Chorzów, Zabrze, Racibórz, Opole, Pszczyna, Cieszyn), kilka bibliotek naukowych (nie mówiąc o sieci bibliotek szkolnych) z największą Śląską Biblioteką Publiczną w Katowicach. Gdy do tego dodać blisko 900 czynnych świetlic i domów kultury, bogato rozwinięte czasopiśmiennictwo (ogółem 50 czasopism z najróżniejszych dziedzin życia), ruch wydawniczy naukowy, publicystyczny, literacki i fachowy — będziemy mieli obraz tego, co składa się na śląskie życie kulturalne.

Po przebrnięciu przez sprawozdania powyżej zestawionych instytucji pracy kulturalnej pragnęlibyśmy dokonać pewnej ogólnej choćby oceny śląskiego życia kulturalnego. Nie łatwo jednak nam to przyjdzie. Szeroki zakres działalności kulturalnej i jej jakościowe zróżnicowanie sprzeciwia się jakimkolwiek uogólnieniom, gdy chodzi o wartościowanie tych działalności pod względem ich potrzeby i użyteczności w nowej rzeczywistości polskiej. Jednak zdają się nie ulegać dyskusji pewne wnioski, jakie muszą się nasuwać przy tym kulturalnym bilansowaniu. Są to wnioski w każdym razie niewesołe.

W pogodną na ogół treść sprawozdań wplata się przenikająca wszystko troska, która powoduje, że osiągnięcia i sukcesy błędną, zwłaszcza gdy zestawimy je z przyszłością, gdy porównamy się czekające nas zadania ze środkami przeznaczonymi na ich realizację.

Wychodząc z założenia, że obecny, nie dający się zaprzeczyć wielki rozwój życia kulturalnego na Śląsku jest logicznym następstwem i kontynuacją tego, co się było poczęło rysować już w międzywojennym dwudziestolecium, że nastąpił dziś organiczny rozwój zamierzeń przy sprzyjających warunkach politycznych (połączenie ciężających ku sobie Śląsków: Opolskiego i Górnego), administracyjnych (włączenie w granice województwa Sosnowca wraz z całym Zagłębiem), społecznych (nowe grupy ludnościowe, wymagające uprawy kulturalnej, nacjonalizacja przemysłu i związane z tym szerokie możliwości akcji oświatowo-kulturalnych wśród rzesz robotniczych poprzez związki zawodowe i świetlice) — trzeba powiedzieć, że z tymi warunkami nie idą w parze nasze możliwości gospodarcze i personalne. I to właśnie są te dwa źródła naszych trosk, jeśli chodzi o rzeczywistość kulturalną Śląska. Po prostu: tak wspaniale startujące życie kulturalne cierpi primo na brak pieniędzy, secundo na brak ludzi, a można by jeszcze dorzucić tertio na brak wyraźnego planu, nakazującego realizować najpierw rzeczy bardziej potrzebne a później dopiero mniej potrzebne i mniej pilne.

Co będzie dalej? Bo weźmy przykładowo sprawę szkolnictwa, gdzie pieniądze mogą nas uratować, a ich brak może przynieść katastrofę już w najbliższej przyszłości. Wedle oficjalnego przemówienia wojewody śląsko-dąbrowskiego gen. Zawadzkiego z dnia 22. 3. 1947 r. (por. „Dziennik Zachodni“ z dn. 23. 3. 1947) tylko w zakresie kształcenia nauczycieli w naszym województwie „musimy odbudować i odremontować 16 budynków, co skromnie ma wynieść 25 milionów zł, trzeba wybudować dwa nowe zakłady kształcenia nauczycieli, czego koszty wyniosą 48 mil. zł, razem więc potrzebujemy 73 miliony złotych na samo kształcenie nauczycieli. Dla gimnazjów i liceów ogólnokształcących

trzeba odbudować 30 budynków, a odremontować 44 kosztem 230 milionów. Potrzeby szkolnictwa zawodowego wyrażają się cyfrą 580 mil. zł.“ Na szkolnictwo powszechne (odbudowa i budowa nowych gmachów) potrzeba miliarda 32 milionów zł, na przedszkola (znowu w zakresie budynków tylko) 250 mil. zł. „Po doliczeniu wydatków na oświatę dla dorosłych otrzymujemy sumę 2 miliardów 680 milionów zł“, a do tego, cytujemy dalej słowa woj. Zawadzkiego, „Kuratorium przedstawiło mi potrzeby na kwotę 90 mil. zł na niezbędne pomoce naukowe dla szkół już funkcjonujących“, przy czym uwzględniło tylko 20% ogólnych potrzeb. Ponury ten rachunek zamknęła cyfra ca 4 miliardów złotych. Wojewoda, zająwszy wobec tych potrzeb postawę czynną, wystąpił z inicjatywą zorganizowania „Funduszu Odbudowy Szkolnictwa“, który ma w ciągu 3 bieżących miesięcy letnich zebrać na początek 200 mil. zł wśród społeczeństwa naszego województwa.

Brak funduszy coraz też brutalniej hamuje i inne prace oraz akcje kulturalne. Prof. Kuczewski, rektor Politechniki Śląskiej w Gliwicach, pisze („Zaranie Śląskie“ nr 1—2 1947): „dotąd jeszcze nie możemy ustalić dokładnych planów i ścisłego budżetu na okres najbliższych miesięcy... Planowanie nasze (odnośnie do finansów — dop. mój) dotyczy jedynie dnia najbliższego...“ Zupełny brak pieniędzy nie pozwala rozwinąć się należycie zasłużonemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk na Śląsku, brak funduszy powoduje, że dotychczas nie zrobiono prawie niczego w sprawie tak ważnej, jak uruchomienie olbrzymiej biblioteki w Bytomiu (w czasach niezmiernej potrzeby książki leży tu bezużytecznie w kurzu i brudzie 140 tys. tomów nikomu niedostępnych!). I tak sprawdzałaby się ta uwaga o braku pieniędzy jako zasadniczym czynnikiem hamującym rozwój niemal przy każdej działającej kulturalnie instytucji. Powiedzmy jednak, że szkopał

finansów będzie mógł być przewyższony w bliższej czy dalszej przyszłości (choć wiele spraw może w międzyczasie z tego powodu skostnieć i „położyć się”) — o ileż jednak trudniej będzie przewyższyć kryzys personalny w śląskiej rzeczywistości kulturalnej.

Województwo śląsko-dąbrowskie, rozszerzając w 1945 r. swe granice o całą Opolszczyznę i Zagłębie Dąbrowskie, wchłonęło z tymi nabytkami tereny nie przedstawiające pod względem kulturotwórczym aktywów, lecz raczej pasywy. W te tereny, a zwłaszcza w Opolszczyznę, trzeba pchać ludzi, trzeba „inwestować“ działacza oświatowego, naukowca, nauczyciela. Oczywiście wraz z nowymi grupami społecznymi przybyli i nowi pracownicy kultury, jednak jest to zastrzyk zbyt mały, jak się okazuje w porównaniu z potrzebami naszego województwa. Głównie z powodu braku nauczycieli 17,5 tys. dzieci jest na Śląsku pozbawionych szkoły powszechnej, z tego na Opolszczyźnie 13 tys. dzieci. W tym miejscu też wypada podkreślić stanowczo niedostateczny jeszcze udział w szkolnictwie młodzieży, rekrutującej się z ludności rodzimej; oto na przykład z 23 tys. młodzieży, uczącej się w śląskich szkołach średnich — 8 tys. uczniów posiada Opolszczyzna; z tych 8 tys. gimnazjalistów i gimnazjastek na Opolszczyźnie tylko 1,5 tys. stanowią przedstawiciele ludności rodzimej (na 800 tys. Polan*). Jeśli się zważy, że trzon kultury Śląska w jej aspekcie powszechnym, popularnym stanowili zawsze ludzie miejscowi, to trzeba się poważnie zatroskać nad przyszłością tej kultury, której, jeśli w najlepszym razie nie zabraknie przywódców terenowych, to na pewno w tych warunkach nie przybędzie ro-

dzimych naukowców, literatów, słowem, rzetelnej inteligencji kulturotwórczej.

Tezę o braku odpowiednio dużego zasobu ludzi w stosunku do rozbudowanych instytucji, zda się potwierdzać fakt, że mimo wszystko twórczo w dziedzinie teoretyczno-naukowej pracuje, jak dawniej tak teraz, głównie stara gwardia Instytutu Śląskiego, lub w dziedzinie literatury ta sama, co przed wojną garstka literatów, lub w dziedzinie świetlic ci sami, co przed wojną świetlicowcy lub w ruchu śpiewaczym ci sami, co przed wojną Ligendzowie. Sytuacja w dziedzinie kryzysu personalnego w życiu kulturalnym Śląska nie tylko że się nie poprawia, ale raczej się pogarsza. Z jednej strony spowodowane to jest nagminną ucieczką ludzi sztuki, nauki i oświaty na intratniejsze materialnie placówki, z drugiej odpływem kulturotwórczego elementu do ośrodka wrocławskiego lub krakowskiego (na co zwraca też uwagę dr Kazimierz Popiołek w nr. 1—2 br. „Zarania Śląskiego“).

Życie kulturalne Śląska na pierwszy rzut oka bujne, przy bliższym spojrzeniu może głęboko niepokoić. Te liczne ujemne zjawiska — tu poruszono jedynie najważniejsze — stara się leczyć wszelkimi możliwymi sposobami Wojewódzka Rada Kultury, o której działalności na tym miejscu już pisano (pór. Przegl. Zach. nr 3, marzec 47); leczenie to wszelako nie bardzo jest skuteczne, skoro Rada operuje niedużymi funduszami i skoro jako ciało zbiorowe jest nieco za ciężka w pracy (exemplum: z czterech zapowiadanych od dawna jako „przygotowane“ prac dla Opolszczyzny nie wydano do tej pory ani jednej).

Przypomnijmy sobie jeszcze raz cytowane na początku tej korespondencji zdanie referenta budżetu Ministerstwa Oświaty: „Troska o rozwój oświaty i kultury powinna iść równoległe z troską o chleb“.

Zbyszko Bednorz (Katowice)

*) Cyfra ta jest ogólnie przyjęta, choć niecisła; do tej pory niestety nikt nigdzie nie ogłosił rzeczywistego stanu ludnościowego Opolszczyzny.

PROBLEMY KULTURALNE SZCZECINA

Sezon teatralny dobiega końca. Bilans obydwu teatrów szczecińskich — Teatru Małego im. Mariana Buczka i „Komedii Muzycznej“ nasuwa obserwatorowi szereg refleksji. Proste stwierdzenie, że stosunek sztuk polskich autorów do obcych, wystawionych w Teatrze Małym, określa się proporcją 10:2, daje już temu teatrowi znaczną przewagę nad „Komedią Muzyczną“, która na 12 premier ma zaledwie 4 polskie. Sytuacja natomiast przedstawia się zupełnie odwrotnie pod względem poziomu wykonania scenicznego, którym „Komedia Muzyczna“ bije na głowę swego rywala z Alei Wojska Polskiego.

Sprawy te, dla większości mieszkańców Szczecina właściwie obojętne, kryją jednak poważny problem kultury teatralnej nadodrzańskiego grodu. Wydaje się, że jeszcze nieprędko miasto to stanie się „bastionem“ kultury. Żadne bowiem znaki na firmamencie obu Rad Narodowych nie wskazują na to, by rychłego zrozumienia doczekała się sprawa zbliżenia teatru do miasta, skoro zbliżenie miasta do teatru napotyka na tak poważne trudności.

Wyprawa z zamieszkałych dzielnic miasta do teatru na Swaróżyca odstrasza wielu perspektywa powrotu pieszo, a teatr pozbawiony stałej poważniejszej pomocy finansowej musi się liczyć z publicznością i, chcąc ją za wszelką cenę przynęcić, schlebia jej gustom, niewybrednym, bo niewyrobionym, i dba więcej o „kasę“ niż o „linię repertuarową“.

Teatr Mały natomiast, położony prawie w centrum miasta, ma już swoją publiczność, co wieczór wypełniająca salę, i nie dba o groźną zapowiedź Ministerstwa Kultury i Sztuki, że będą zwinięte teatry nie licencjonowane przez Z. A. S. P.

Najwłaściwszym wyjściem z tego impasu teatralnego byłoby „umiastowienie“ obu teatrów i połączenie ich pod

jedną dyrekcją, wyraźne wyznaczenie ciężaru gatunkowego reprezentowanych linii repertuarowych, poważnej dla „Komedii Muzycznej“, lżejszej dla Teatru Małego. W dalszej perspektywie pozostałoby wyposażenie Szczecina w przyzwoity gmach teatralny. Na jednej z konferencji w sprawach teatrów, jakich kilka — bez rezultatu zresztą — odbyło się na zaproszenie Wojewody, wysunięto ciekawy projekt: „Cała Polska buduje Szczecinowi teatr“. Przy niesprecyzowaniu, jakie czynniki miałyby akcję taką przeprowadzać, projekt pozostał w sferze pobożnych życzeń. Jeżeli natomiast ojcowie miasta będą się długo namyślać nad „umiastowieniem“ teatrów — czego się wolno obawiać — to zagadnienie nie doczeka się w tym roku rozwiązania. Zachowanie status quo spowoduje, że przyszły sezon zastanie teatr bez skompletowanego i odświeżonego zespołu, a nawet może uszczuplonego przez ubytek wartościowszych sił aktorskich, dla których braknie perspektyw artystycznych, czynnika nieoobojętnego dla szanującego się aktora. Dyrekcja byłaby wówczas już nieodwołalnie skazana na „wielkie improwizacje“ repertuarowe i kokietowanie publiczności różnymi „smaczkami“. Ponieważ i Teatr Mały nie ma żadnych warunków technicznych; by na małej scenie rozwinąć jakąś poważniejszą działalność teatralną — tak więc 110 tysięcy szczecinian zostałoby właściwie bez teatru.

Jest jeszcze inna sprawa, domagająca się zdecydowanego rozstrzygnięcia. Ani teatr, ani organizacje nie próbowały dotąd wejść na drogę jakiejś stałej i zorganizowanej współpracy. Znacznym ułatwieniem dla kierownictwa teatru byłaby pewność, że może liczyć na wykupienie określonej ilości spektakli w ciągu miesiąca przez instytucje, organizacje i związki zawodowe i młodzieżowe. Naturalnie taka organizacja widowni wymagałaby odpowiedniego re-

pertuaru, nie „Janów“ i „Niebieskich lisów“, jakimi teatr próbuje się ratować.

Jak z tego wszystkiego widać, sprawa jest poważna i jeśli najbliższe tygodnie nie przyniosą jej wyjaśnienia, skończyć się może fatalnie dla życia kulturalnego Szczecina.

Zarzut, stawiany często teatrowi, że nie stara się przyciągnąć mas, spotyka również szczeciński Klub Literacko-Artystyczny. Zarzuca mu się nadto elitaryzm, jeśli już nie brak związania z masami, to przynajmniej z jakąś określoną warstwą społeczną. Zarzut o tyle niesłuszny, że znów nikt nie starał się w poważniejszy sposób i w wydatniejszej formie przyjść z pomocą tej ambitnej placówce. Wprost nie do wiary, że aczkolwiek pozostawiona sama sobie, przy około 20 członkach, płacących regularnie składki, i subwencji nie przewyższającej 20 000 zł zdołała zorganizować 13 wieczorów literackich w ciągu roku. Ostatnia gościna Szelburg-Zarembiny, zapowiedziany przyjazd Morcinka i Piechala zdają się wskazywać, że zaawansowane ośrodki kulturalne Polski centralnej zaczynają nareszcie wykazywać żywsze zainteresowanie dla wytrwałych wysiłków garstki „ludzi dobrej woli“, tworzących oblicze kulturalne Szczecina.

Jakie takie ożywienie wykazuje również miejscowy Związek Artystów Plastyków. Prócz otwarcia gospody plastyków planuje się na okres tegorocznych dni Szczecina urządzenie wspólnie z gdańskim Oddziałem Plastyków Wystawy Sztuki Wybrzeża. Tymczasem związana przy Związku Szkoła Sztuk Pięknych wegetuje w milczeniu.

Niemalże zasługi dla ożywienia życia kulturalnego Szczecina położyła prasa. Ona to przerwała milczenie otaczające do niedawna zupełnie ignorowaną przez władze Bibliotekę Miejską, potem zajęła się Muzeum Miejskim, a na swoją kolej czeka jeszcze Archiwum Państwo-

we, walczące z niesłychanymi trudnościami.

Najkatastrofalniej przedstawia się sytuacja na odcinku muzycznym. Szczecin był dotychczas zdany jedynie na sporadyczne wizyty muzyków i śpiewaków, a jedyną zwartą grupą muzyczną była orkiestra miejscowej rozgłośni Polskiego Radia. Obecnie Dyrekcja Naczelna, jak słychać, nie zamierza utrzymywać orkiestr rozgłośni prowincjonalnych. Szczecin zostanie więc pozbawiony nawet tych sporadycznych koncertów, jakich kilka zdołano dotąd urządzić. Co prawda próby te wykazały, że dla niezmiernie różnorodnej ludności Szczecina koncert nie jest imprezą atrakcyjną, ale ten stosunek publiczności mógłby również ulec zmianie na lepsze, gdyby znowu czynniki wiele mówiące o upowszechnianiu kultury zajęły się tą sprawą naprawdę i z sercem. Udałoby się wtedy przełamać nawet owo merkantylne nastawienie muzyków, jak i większości artystów innych specjalności, z jakim spotykają się organizatorzy imprez kulturalnych. Ci ludzie zniechęceni są bodaj najbardziej. Weszło bowiem w zwyczaj, że zadaniami kulturalnymi obarcza się stale jednych i tych samych ludzi, przez co eksploatacja nielicznych umysłowości szczecińskich przechodzi już w dewastację ich możliwości, a jakoś nie widać odsieczy kulturalnej z zewnątrz, która by złuzowała tych pionierów kultury Szczecina.

Normalizacja życia kulturalnego — mimo wszystko o wiele bardziej ożywiłoby niż przed rokiem — ujęcie go w przemyślane i sprecyzowane ramy organizacyjne, wsparcie ich autorytetem i pomocą realną władz — to byłoby zadanie przyszłej Wojewódzkiej Rady Kultury, o której wiele mówiło się, ale jak dotąd bez konkretnych rezultatów. Rada taka prócz tego, że miałaby możliwość oszczędzenia Szczecinowi niezasłużonej opinii pomorskiej Abdery, jaką wyrabiają mu pogromcy Rostworow-

skiego, Zapolskiej, Moliera i Klubu — zajęłaby się intensywnie repolonizacją kulturalną terenu województwa, moźlnie przeorywanego jedynie przez Towarzystwo Przyjaciół Teatru i Muzyki Ludowej, ciągle jeszcze w stopniu sta-

nowczo nadmiernym wydanego na państwę samozwańczych organizatorów improwizacji kulturalnych. Ale o tych sprawach następnym już razem.

Walerian Lachnitt (*Szczecin*)

Z GEOGRAFAMI POPRZEZ POMORZE

Ogólnopolski doroczny zjazd geografów odbył się w tym roku w Toruniu od 25 do 29 maja. Głównym celem zjazdu było nie tylko zaznajomienie się z dorobkiem naukowym uczonych polskich w dziedzinie geografii, ale i poznanie nowych terenów Polski wraz z ich zagadnieniami fizjograficznymi, demograficznymi i gospodarczymi. Z tych względów jedynie przez dwa pierwsze dni zjazdu obradowano w Toruniu, resztę czasu poświęcając na podróż po Pomorzu Zachodnim i na konferencje w Szczecinie. Przewodniczącym komitetu organizacyjnego w Toruniu był prof. dr R. Galon, w Szczecinie mgr J. Brinken.

W zjeździe wzięło udział przeszło 500 osób, a byli wśród nich: profesoria uniwersytetów, (nie zabrakło nikogo z bardziej znanych w świecie naukowym geografów), nauczyciele szkół średnich, powszechnych oraz studenci geografii.

Niedzielę, dnia 25 maja rozpoczęto od mszy św. za poległych i zamordowanych geografów polskich. Oficjalne otwarcie zjazdu nastąpiło o godz. 9-tej rano w Robotniczym Domu Kultury na Rynku Staromiejskim.

Po wstępnych przemówieniach organizatorów zjazdu i przedstawicieli władz rozpoczęły się plenarne obrady pod przewodnictwem prof. dra E. Romera, przyjętego przez zebranych długo niemilkającymi oklaskami. Popularność i sympatia, jaką się cieszy ten od lat najbardziej zasłużony geograf Polski, znany w nauce geografii całego świata, jest tak wielka, że ukazanie się go za stołem prezydiálním, wytworzyło od

razu odpowiednią atmosferę wśród zebranych, nawiązując do tradycji dawnych zjazdów.

Pierwsze referaty sesji plenarnej poświęcone były miastu, w którym rozpoczął się zjazd. Położenie Torunia w aspekcie historycznym i geograficznym przedstawiła prof. dr Kielczewska-Zaleska, zabytki Torunia omówił prof. dr Limanowski. W niezwykle interesującej prelekcji prof. dr Czekalski wyjaśnił rolę geografii, jako nauki w życiu powojennym Polski, a przedstawiciel Głównego Urzędu Planowania Przemysłowego, prezes mgr J. Zaremba wyjaśnił wstępną koncepcję planu krajowego, ukazując zarazem szereg ciekawych szkiców, wykresów i plansz.

W obrębie zajęć popołudniowych odbyło się otwarcie i zwiedzenie wystawy kartograficznej, która w licznie zebranych wydawnictwach map powojennych pokazała, jak wielkim mimo ogromnych trudności i braków obecnej techniki kartograficznej jest nasz wysiłek i dorobek w tej dziedzinie.

Z kolei wycieczki odbyte w kilku grupach po mieście ukazały przyjeźdnym piękno niezniszczonych zabytków Torunia z ratuszem, kościołem M. Panny, św. Jana i św. Jakuba na czele. To pełne tradycji i chlubnej przeszłości miasto, z zabytkowym starym śródmieściem, oblanym szerokim nurtem Wisły, z nowoczesnymi pełnymi zieleni i kwiatów dzielnicami, nieco na uboczu od głównego prądu życia gospodarczego, stwarza odpowiedni klimat do rozwoju ośrodka życia umysłowego, jakim zawsze staje się miasto uniwersyteckie.

W regionalnym wieczorze pt. „Kujawy i Kaszuby w pieśni, tańcu i muzyce“, przygotowanym przez T. U. R., pokazano swoiste oblicze i wdzięk zanikających coraz bardziej zwyczajów ludowych Pomorza.

Drugi dzień poświęcony był obradom w trzech sekcjach: geografii fizycznej, antropogeograficznej i dydaktycznej.

Oprócz zagadnień ogólnogeograficznych i z zakresu geografii Polski poruszano tematy związane z Ziemią Zachodnią. I tak: prof. dr Krygowski omówił dyluwium Ziemi Zachodniej, prof. dr Klimaszewski rysy morfologiczne Sudetów, mgr Leonhard zniszczenie wsi na Śląsku. Przedyskutowano również gruntownie nowe programy geograficzne dla szkół.

Dnia 27. V. specjalny pociąg powiózł uczestników zjazdu poprzez Pomorze Zachodnie do Szczecina. Trasa prowadziła najciekawszymi geograficznie terenami, ukazując kolejno wszelkie formy i rodzaje pozostałości wielkiego lodowca skandynawskiego, który wiele wieków temu ukształtował powierzchnię Pomorza, tworząc pojezierze, jeden z najbardziej interesujących i urozmaiconych krajobrazów.

Trasa wiodła zatem najpierw dnem szerokiej pradoliny, którą niegdyś prze-walały się ku zachodowi olbrzymie fale wód topniejącego lodowca; te wyrównując jej dno, a wcinając się coraz głębiej w podłoże potworzyły na zboczach doliny szereg teras, wykorzystanych obecnie przez człowieka. W tej szerokiej na kilka do kilkunastu kilometrów dolinie Wisła, wzdłuż której prowadziła nasza droga, wydaje się małą, wąską, zagubioną w tym płaskim dnie pokrytym łąkami, polami i osiedlami ludzkimi. Na horyzoncie po jednej i drugiej stronie zarysowują się wysokie brzegi pradoliny. Na większej przestrzeni zapiaszczone dno porasta las sosnowy, jeden z większych kompleksów leśnych Polski. Kolej raz wznosi się na wyższą terasę, to znów schodzi na dno, ukazując coraz to inny, rozległy widok.

Wreszcie przekraczamy Brdę, skąd Wisła, opuszczając równoleżnikową pradolinę, zwraca się nagle ku północy, ku morzu. Droga nasza prowadzi dalej na zachód przez Bydgoszcz, Nakło, Kanałem Bydgoskim i Notecią do Piły, która wita nas murami niemal całkowicie pogruchotanymi wojną. Zniszczona prawie w 90%, zatraciła swój dawny, przemysłowy charakter, pozostając jednak nadal ważnym węzłem komunikacyjnym. Wśród gruzów zakwitło szybko nowe życie. Dziś oglądamy już szereg wyremontowanych domów, czyste, uprzątnięte ulice, ludzi spieszących do pracy w nowo zorganizowanych i odremontowanych warsztatach i fabrykach. Piła leży nad rzeką Głdą, niedaleko jej ujścia do Noteci, na obszarze innego znów zjawiska polodowcowego, na tzw. zandrze. Poza Pilą oglądamy owe rozciągające się szerokie, płaskie pola piasku, wymytego przez wody lodowca, porośnięte dziś przeważnie lasem. Pokryte urodzajniejszym mułem tereny porasta zielona ruń zboża, świadcząca o całkowitym objęciu tej ziemi w posiadanie przez polskiego osadnika. Od Piły kolej prowadzi na północ do Szczecinka, gdzie znajdujemy się niemal w środku owego najpotężniejszego tworzywa lodowca, najwyższego pasa wzgórz moreny czołowej, z błękitnymi platomi najprzeróżniejszego kształtu jezior. Rozglądamy się z zachwytem w dobrze znajomym krajobrazie owych wzgórz pomorskich, porośniętych częściowo lasem, zagłębieni i szerokich dolin, wypełnionych wodą, rozległych pól i wsi, przytulonych do brzegu jeziora, lub szczytu płaskiego wyniesienia. Wojna nie pozostawiła tu wielkich zniszczeń, toteż wsie ze swymi zaludnionymi domami, a pola staranną uprawą nie nasuwają obrazu niszczącej wojny, jaka przeszła opodal.

Wysiadamy w Czaplunku, by tam z bliska obejrzyć te interesujące zjawiska geograficzne i posłuchać ciekawych i gorących dyskusji naszych uczonych.

Jesteśmy tu w sercu Pojezierza Pomorskiego. Kolej wiedzie nas pomiędzy bezładnie rozrzuconymi, zalesionymi wzgórzami, tuż nad brzegami jezior, pojawiających się coraz częściej po jednej i drugiej stronie toru. Przypomina się Finlandia, owa „krajina tysiąca jezior”. Więcej tu jednak pól uprawnych i osiedli skupionych.

Późnym wieczorem przez Stargard i Dąb dojeżdżamy do Szczecina. Poprzez prowizoryczne mosty przerzucone nad licznymi odnogami Odry pociąg posuwa się wolno, pozwalając obserwować siłę niszczycielską wojny. Podziwiamy prace, która olbrzymie, powalone do wody przesła mostów podnosi w górę. Są to roboty zakrojone na wielką skalę. Widoczne są już obudowane nowe filary, na których spocznie trwały most, łącząc lewy odcinek pobrzeża Odry i Szczecin z całą Polską. Przy moście trzymają straż żołnierze polscy i milicjanci. Szczecin, pogrążony niemal całkowicie w ciemnościach, pozostaje dla nas tajemnicą aż do drugiego dnia. Dopiero jasny, słoneczny poranek pokazuje nam gruzy starego miasta z wyniesionymi ponad pojedyncze mury kamienne wieżami kościołów.

Otwarcie obrad szczecińskich nastąpiło w gmachu Zarządu Miejskiego na placu Niezlomnych o godz. 9 rano. W obradach wzięli udział przedstawiciele władz miejscowych z wicewojewodą i prezydentem miasta na czele. Ciekawe referaty dotyczyły najbliższych terenów Szczecina. Prezydent miasta inż. Zaremba przedstawił odbudowę regionu szczecińskiego na tle krajobrazu delty Odry, ukazując wspaniałe możliwości wykorzystania krajobrazu wysokich wzgórz, otaczających Szczecin, licznych lasów i zieleńców i wód okolicznych, mgr Brinken opisał okolice Szczecina pod względem morfologicznym, prof. dr Mikołajski wybrzeże i wyspę Wolin, dr Terebucha port szczeciński, a mgr Piskorski miasto Szczecin.

Po południu nastąpiło zwiedzenie miasta i portu. Miasto położone na lewym brzegu Odry, w odległości 64 km od otwartego morza rozmieszczone jest na dwóch poziomach. Dzieli się na tzw. „dolne miasto“, obejmujące dzielnicę portową, Stare Miasto, położone na wysokości 10 m. n. p. m., oraz na „górne miasto“ z dzielnicą willową i współczesnym śródmieściem na wysokości 30 m n. p. m. Dziś Stare Miasto leży niemal całe w gruzach. Uliczkami pełnymi zwalów cegły i rumowisk błędzić można bez końca w poszukiwaniu dawnych śladów polskości i zabytków sztuki. Znajdziemy je w przepięknych gotyckich sklepieniach starego ratusza, wybudowanego przez mieszczan szczecińskich w r. 1245, w ruinach olbrzymiego kościoła św. Jakuba, którego masywna a nadwątlona wojną wieża wyrasta z potężnego frontonu, a prezbiterium z obejściem i szerokimi i kunsztownymi oknami ukazuje nam dawne wnętrze oraz smukłość kolumn i łuków. Środek kościoła, z którego pozostała jedynie prawa zewnętrzna ściana, zasłany jest powalonymi i rozłupanymi na części kolumnami, a zamiast sklepienia gotyckiego rozciąga się nad nią mocny błękit pogodnego nieba. Wszczytowej ścianie pozostała jeszcze płyta grobowa księcia Barnima III, który w 1243 r. nadał Szczecinowi prawo miejskie. Z najstarszych kościołów ocalał kościół św. Piotra i Pawła, sięgający początkami jeszcze czasów misji Bolesława Krzywoustego i nie zniszczony kościół pofranciszkański pod wezwaniem św. Jana.

Najcenniejszym jednak zabytkiem Szczecina jest zamek Piastów szczecińskich, górujący na wysokim brzegu Odry nad Starym Miastem i portem. Pierwszą budowlę drewnianą zastąpiono w XIV w. murowanym zamkiem, rozbudowanym w późniejszych wiekach w rozległy renesansowy gmach. Zniszczony w czasie wojny, znajduje się obecnie pod opieką Komisji Konserwatorskiej, która przeprowadza częściowy

remont i zabezpieczenia gmachu, oraz prace badawcze wczesnohistoryczne.

Błądząc wśród gruzów pustymi uliczkami, natrafić można na niezniszczone zapory i barykady uliczne, z bunkrami i okienkami strzelniczymi, tak jak gdyby wojna skończyła się dopiero wczoraj. O kilka ulic dalej, bliżej portu, wre praca. Młodzież szkolna i akademicka w ochotniczej pracy usuwa z ulic gruzy, układając cegły w regularne stosy. Będą z tego kiedyś nowe domy w nowym, polskim Szczecinie.

Nowe dzielnice, regularnie zabudowane i rozrzucone daleko dzielnice willowe ocalały prawie zupełnie. Zniszczone zaledwie w 1/4 stanowią prawdziwe centrum dzisiejszego życia, płynącego tu żywym nurtem. Wszędzie pełno sklepów, restauracji, urzędów, biur. Szczecin to najrozleglejsze miasto w Polsce, obszar jego wraz z jeziorem Dąb i portem wynosi bowiem 21.091 ha (w tym jezioro Dąb 5391 ha, lasy 1316 ha).

Port szczeciński leży u stóp Starego Miasta. Wykorzystuje liczne rozgałęzienia i odnogi Odry, wcinając się równocześnie sztucznymi kanałami i basenami w wyspy i nadbrzeże. Ze szkarpy nadodrzańskiej rozciąga się rozległy widok na ogromne zabudowania portowe, na zniszczone mosty, po większej części uszkodzone krany. Zniszczenie portu wynosi 60%. Na najbliższym nadbrzeżu ruch. Tu przybijają statki pasażerskie wiozące interesantów, wycieczkowiczów i letniskowców do Świnoujścia i Międzyzdrojów. Liczny, ruchliwy tłum czeka na przybycie statków pasażerskich. Z rzadka pojawiają się motorówki i jachty. Statki handlowe tu nie docierają, przybijają do dalszych, handlowych części portu, ciągnących się kilometrami w kierunku północnym. Większe statki radzieckie i mniejsze szwedzkie są najczęstszymi gośćmi w naszym porcie. Przybywają do nas niekiedy nawet małe kutry o niebiesko-żółtej fladze i pozostawiają rudę, a zabierają w zamian węgiel. Ruszył już

jeden z pieców huty „Stoleczyn“, gdzie przerabia się rudę szwedzką. Kamień wapienny topnikowy mają dostarczać do huty niedalekie kamieniołomy w Czarnogłowie, w sąsiednim powiecie. Przez polski odcinek portu, znajdujący się w części północnej miasta, wywozi się głównie węgiel i sole potasowe, a przewozi konie, celulozę, rudę i drobnicę.

Ostatni dzień zjazdu poświęcony był podróży statkami do Świnoujścia. Wyjechaliśmy rano dwiema grupami na statku pasażerskim „Ukraina“ i holowniku „Bawół“. Droga do Świnoujścia trwa 4 godziny, toteż podróż w obie strony i zwiedzenie miasta i plaży zajęły nam cały dzień. Droga prowadziła przez cały port szczeciński, koło jeziora Dąb, widocznego na wschodzie, poprzez zalew szczeciński, kanałem, przekopanym przez wąski wchodni cypel Uznamu, Świną do samego portu. Pierwszy odcinek drogi to wąskie i głębokie (7 m) koryto właściwej Odry, z rozciągającą się po lewej stronie wysoką krawędzią płaskowzgórza Warszewo, na którym rozlokowały się liczne osiedla Szczecina. W miarę posuwania się na północ rzeka staje się coraz szersza, aż wreszcie rozlewa się w szeroki i płytki zalew szczeciński, w którym latarnie i boje znaczą pogłębioną stałe do 8 m drogę wodną. Od czasu do czasu natrafiamy na sterczące z wody wraki statków wojennych, których kosztą wydobycia są tak wielkie, że na razie nie można statków usunąć.

Niewielki stosunkowo port Świnoujście leży w odległości 3 km od morza na wyspie Uznam. Samo miasteczko i lotnisko, położone ongiś w pięknym parku, nosi duże ślady działań wojennych. Większość will jest popalona, drzewa poniszczone i uschnięte. Trzeba przejść do portu długą, asfaltową aleję, by dostać się na plażę szeroką, odgrodzoną od wnętrza wyspy wydiami. Spokojne fale morskie, rozbijające się o miękkie i drobny piasek, zachęcają do pozostania.

Stanisława Zajchowska (*Toruń*)

POKAZ W BIBLIOTECIE NARODOWEJ W WARSZAWIE

Urządzona w Bibliotece Narodowej w Warszawie z okazji Święta Oświaty wystawa pt. „Piśmiennictwo naukowe Polski powojennej“ była niewątpliwie interesującym pokazem polskiej produkcji naukowej na przestrzeni pierwszych dwóch lat trudnego okresu powojennego.

Na wystawie, która znalazła pomieszczenie w części obecnej czytelnicy Biblioteki Narodowej, zgromadzono ponad 700 pozycji wydawnictw zwartych, odbitek i periodyków o charakterze naukowym dość szeroko zakreślonym przez włączenie działu wydawnictw popularno-naukowych. Wystawa obejmowała tylko druki rejestrowane w Bibliotece Narodowej i dlatego nie uniknęła też dość rażących braków.

Materiał, podzielony zasadniczo na grupy tematyczne, uzupełniała osobno pokazana produkcja wydawnicza instytucji naukowych, naukowo-badawczych i popularno-naukowych. Kilka tablic — map i wykresów — dopełniało cyfrowo w sposób plastyczny materiał książkowy, rozłożony na stolach.

W niniejszym sprawozdaniu interesują nas przede wszystkim dwa momenty: zainteresowanie Ziemią Odzyskanymi w polskim piśmiennictwie naukowym okresu powojennego oraz produkcja wydawnicza na terenie Ziemi Odzyskanych w tym krótkim, polskim już okresie. W cyfrach wyraża się to w sposób następujący: a) prac, mających za temat Ziemię Odzyskaną, było na wystawie 101, b) książek i czasopism naukowych, wydanych na Ziemiach Odzyskanych, pokazano na wystawie 63 pozycje.

W tematyce materiału wystawowego oczywiście najszerzej reprezentowane były Z. O. w dziale historii; na specjalne podkreślenie zasługuje tu działalność Instytutu Zachodniego, a następnie Śląskiego, Bałtyckiego i Mazurskiego — pokazane zresztą i gdzie indziej. Tematy dotyczyły głównie Śląska, w dalszym

rzędzie Prus Wschodnich i Pomorza Zachodniego.

W dziale literatury pokazano tylko dwie pozycje: W. Szewczyka, „Śląski trud literacki“ oraz „Zbiór poezji na Opolszczyźnie“. Czyby jednak nie znalazło się więcej opracowań z tej dziedziny? Sporo miejsca zajmują Z. O. w dziale geografii, gdzie wysuwają się niemal na plan pierwszy wydawnictwa topo- i onomastyczne, dowodzące dobitnie żywej dbałości społeczeństwa polskiego o terminologię polską, eliminującą resztki wpływów niemieckich. (Ks. S. Kozirowskiego — „Atlas nazw geograficznych Słowiańszczyzny Zachodniej“ II wydanie, W. Chojnackiego — „Słownik polskich nazw miejscowości w b. Prusach Wschodnich“ i już w 1945 r. wydany w Cieszynie „Słownik nazw miejscowych Pomorza Mazurskiego“). Brak było na wystawie pierwszej powojennej jaskółki z tego zakresu, wrocławskiego wydawnictwa z roku 1945 pt. „Najważniejsze miejscowości Śląska, Pomorza Zachodniego i Prus Wschodnich“, nakł. Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy Dolnego Śląska).

Dosyć rażący był brak wydawnictw z dziedziny sztuk plastycznych, figurowała bowiem na wystawie tylko książka B. Stelmachowskiej „Zdobnictwo ludowe Ziemi Pyrzyckiej“. Lukę tę można by chyba wytłumaczyć trudnościami dotychczasowymi pracy w terenie i przeszkodami natury technicznej i finansowej przy zrealizowaniu wydawnictw, które z konieczności muszą być zaopatrzone w bogatszy materiał ilustracyjny.

W działach: Prawa, Nauk Przyrodniczych parę tylko wydawnictw dotyczy Z. O. Natomiast b. interesująco wypadł pokaz na osobnym stole produkcji wydawniczej instytucji, które funkcjonują na Z. O. Oczywiście pierwsze miejsce zajął tu Instytut Śląski, gdyby nie brać pod uwagę rozgraniczeń terytorialnych,

funkcjonuje on bowiem od czasów przedwojennych, a działalnością swoją obejmuje dziś Śląsk Górny i Dolny. Następnie wspomnieć należy Instytut Bałtycki, dziś mający siedzibę w Gdańsku, oraz Instytut Mazurski w Olsztynie. Dalej idą ośrodki lokalne, gdzie na plan pierwszy wysuwa się Wrocław ze swym Uniwersytetem i z Wrocławskim Tow. Miłośników Historii, następnie Politechnika Gdańska, Związek Gospodarczy Miast Morskich w Szczecinie itd.

Na uwagę zasługują też różne drobne wydawnictwa lokalne (np. z Jeleniej Góry), mające dwójakie znaczenie: udostępnienie ludności miejscowej znajomości terenu i związanych z nim zagadnień oraz jako kulturalna pozycja wydawnicza Z. O. Pierwszy z tych aspektów wyraźnie się zarysowuje w dziele osobnym wystawy pn. „Popularyzacja Nauki“, gdzie na pierwsze miejsce wysuwają się oczywiście wydawnictwa Państw. Zakł. Wydawn. Szkolnych z serią „Biblioteczka Ziemi Odzyskanych“ na czele. Drugą w tej dziedzinie instytucją jest Polski Związek Zachodni, który ma już sporo tego rodzaju pozycji w swym bilansie wydawniczym. Dział ten jest niewątpliwie ważny, gdyż z jednej strony daje szerokim sferom całego kraju, zwłaszcza zaś młodzieży szkolnej, możliwość zapoznania się z historią i niektórymi zagadnieniami Z. O., w popularnej, przystępnej formie; z drugiej zaś strony zaczyna wypełniać, choć w tak drobnej mierze, katastrofalny brak książki polskiej na Z. O., zwłaszcza zaś informującej właśnie o tych terenach, gdzie przeciętny autochton był do niedawna pozbawiony lektury polskiej i polskiego aspektu na problemy tych ziem, a napływowy, dzisiejszy osadnik, czy to z Polski Centralnej, czy zza Bugu — nie miał skąd zaczerpnąć najbardziej zasadniczych wiadomości o tym kraju. To, co pokazano na wystawie, jest właściwie dopiero startem, ale startem dobrze rozpoczętym.

Zagadnienie ilościowe publikacji o charakterze naukowym wydanych na

Z. O. unaoczniała mapa, dająca przegląd dotychczasowej produkcji na tym terenie. Najwydatniej działalność wydawnicza zarysowała się oczywiście w ośrodkach, gdzie funkcjonują szkoły wyższe: we Wrocławiu i w Gdańsku. Według tabeli, umieszczonej na wystawie, ukazało się w tych miastach od 21 do 40 wydawnictw naukowych w okresie powojennym. Drugą grupę stanowi Jelenia Góra i Szczecin z 2 do 10 wydawnictwami naukowymi, wreszcie w Jaworcie, Opolu i w Olsztynie ukazało się po jednym wydawnictwie naukowym. Bilans jest więc na ogół raczej skromny. Tłumaczy się to jednak w pewnym stopniu narzucającą się koniecznością wypuszczenia przede wszystkim wydawnictw o charakterze informacyjnym, popularnym, a nawet urzędowym. Prace naukowe, wymagające dłuższych studiów i głębszego opracowania, z konieczności muszą ukazywać się powoli, a dotychczasowe publikacje są przeważnie dziełem autorów, od dawna zajmujących się tymi problemami.

Dla pełniejszej charakterystyki ogólnego bilansu wydawniczego Polski w dziedzinie naukowej w omawianym okresie podano statystykę porównawczą ruchu wydawniczego przed i po wojnie w krajach walczących i neutralnych. Szkoda jednak, że wśród krajów, biorących udział w wojnie, nie uwzględniono Francji i Niemiec; dałoby to pełniejszy obraz stosunków w tej dziedzinie. Cyfry stwierdzają oczywiście spadek produkcji wydawniczej w krajach walczących, a natomiast wzrost w neutralnych.

W cyfrach przedstawiono to w sposób następujący:

Anglia osiągnęła po wojnie zaledwie 37% swej produkcji przedwojennej, Polska — 39%, a USA — 59%. Wzrost wydatny wykazuje Szwajcaria: 184% produkcji przedwojennej, mniejszy Szwecja — 148% produkcji przedwojennej. W tym zestawieniu sprawa nie przedstawia się dla nas bynajmniej zbyt pesymistycznie.

Wystawa, obejmująca, jak już zaznaczyliśmy, tylko druki rejestrowane przez Bibliotekę Narodową, zawierała sporo luk, i to w różnych działach. Mimo to była niewątpliwie interesującym zestawieniem osiągnięć pewnych na tym polu w Polsce powojennej. Dla uważnego zaś obserwatora, umiającego wysnuwać wnioski, wystawa stanowiła ciekawe pole dla badań, jakie dziedziny i jakie tematy okazały się w produkcji tego okresu najżywotniejsze. Szczegółowa analiza tego zagadnienia przekracza ramy tego sprawozdania.

Na zorganizowanym przez Związek Polskich Artystów Plastyków pierwszym powojennym Salonie w gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie (w kwietniu br.) zgromadzono pokaźny dorobek artystów plastyków z okręgu warszawskiego.

Interesującą jest rzeczą, o ile Ziemia Zachodnia umiała zapłodnić artystów ze środowiska warszawskiego i znalazły odbicie ich twórczości pokazanej na wystawie. Wśród 73 artystów malarzy, wystawiających swe prace, zaledwie siedmiu zaczerpnęło motywy z Z. O., bądź w formie pejzaży, bądź kompozycji, osnutych na wspomnieniu z Z. O. Na 144 wystawione prace malarskie tylko 10 było opartych na tematach Z. O., w dziale grafiki jeden drzeworyt miał za temat pejzaż znad Nisy. Ponieważ wy-

stawiono w Salonie około 60 prac pejzażowych, nie można powiedzieć, by bogactwo i różnorodność krajobrazu Dolnego Śląska czy Ziemi Lubuskiej zdążyła już zaważyć na produkcji artystycznej współczesnych nam malarzy ze środowiska warszawskiego. Jest rzeczą znamieną i zresztą naturalną, że silnej podniety dostarcza wciąż Warszawa, jej dzisiejsze tragiczne gruzy i wspomnienie jej bohaterstwa, wiążące się tak trwale z przeżyciami nie tylko jej mieszkańców, ale uczuciowo związane z całą Polską

Nie mniej charakterystycznym jest fakt, że tematyka Z. O. stopniowo, ale stale przenika do twórczości plastyków polskich i to nie tylko osiadłych na tych terenach. Aby jednak Z. O. mocniej wprowadzić do współczesnej sztuki polskiej, czy nie byłoby wskazaniem ułatwić artystom pobytu na tych Ziemiach. W ub. roku mówiono o projekcie urzędzenia domu wypoczynkowego dla plastyków w Bolkowie. Dotąd, jak się zdaje, projekty te pozostały w sferze zamierzeń jedynie. Tymczasem zarówno pejzażowo jak i pod względem zabytków Ziemia te przedstawiają bardzo interesujący materiał o ogromnej skali motywów i zasługują w pełni na szerokie wykorzystanie ich przez artystów plastyków.

Stanisława M. Sawicka (Warszawa)

DRUKARSTWO NA DOLNYM ŚLĄSKU

Książka polska na Śląsku posiada swoją historię. Rozpoczyna ją druk „Statutów Wrocławskich“, tłoczonych w 1475 r. przez Kaspra Elyana, który w tekście łacińskim pomieścił modlitwy w języku polskim „Ojcie nasz“, „Zdrowaś Maria“ i „Wierzę w Boga“. Tak prasa drukarska Elyana „imprimowała“ pierwsze w ogóle słowo drukowane polskie. W ciągu XVI w. następuje żywy okres wymiany ludzi między dru-

karzami Śląska i Krakowa. Warsztaty drukarskie Śląska rozwijają bogatą produkcję książki polskiej na użytek miejscowy, ale nieraz dla potrzeb całej Rzeczypospolitej. Wieńczy te dzieje wielki dom wydawniczy Wilhelma Bogumila Korna, który uczynił z Wrocławia XIX w. poważny ośrodek polskiego drukarstwa i księgarstwa, o znacznej sile produkcyjnej. Zagadnienia te należy co rychlej postawić przed historykiem

książki polskiej, domagają się bowiem gruntownego zbadania.

Materiał, ważny i doniosły historycznie, aktualizują czasy obecne. Drukarnstwo polskie na Dolnym Śląsku, czynne dziś i coraz bardziej zagospodarowane, może nawiązać do dawnej i bogatej tradycji. Niewątpliwie zdawała sobie z tego sprawę pierwsza grupa drukarska, która przybyła do Wrocławia 9 maja 1945 r., wraz z Bolesławem Drobnerem. W dwa dni po zajęciu miasta pojawił się na murach pierwszy plakat w języku polskim „Zarządzenie Prezydenta Miasta”, z drukarni „Neue Breslauer Nachrichten”, przezwaną Drukarnią Miejską (dzisiaj Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza”). W tym tekście oficjalnym możemy zobaczyć odpowiednik historyczny „Statutów Wrocławskich” Elyana, Ów afisz uliczny otwiera rozdział nowej historii.

Rozpoczyna się ona, jak wszystko we Wrocławiu, pionierstwem. Gdy czytamy dzisiaj Sprawozdania Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Poligraficznego, okręg Wrocław (I za okres: VIII—XII 1945, 2: 1946), odkrywamy bez trudu dzieje tej pionierki drukarskiej, podobnej zresztą do typu pracy w innych środowiskach na Dolnym Śląsku. Pierwsi drukarze polscy we Wrocławiu musieli troszczyć się nie tylko o dachy i szyby w budynkach, nie tylko dobywać spod gruzów maszyny i wszelkie urządzenia techniczne, ale także tropić i wyszukiwać po zakamarkach warsztatów akcenty polskie, usunięte już dawno z obiegu. Praca została rozpoczęta resztkami odnalezionego pisma, które natrudziło się tutaj nie mała, jeszcze za czasów Kornowskich. Ale drukarz polski, by sprostać rosnącym potrzebom i zamówieniom, musiał nieraz dorabiać ręcznie czcionki do składu polskiego. Wówczas spod pras wrocławskich jako pierwsze czasopismo nowej epoki ukazał się tygodnik „Nasz Wrocław” tłoczony w Drukarni Miejskiej, tak jak niezadługo pierwszą

książką polską drukowaną we Wrocławiu był „Mózg” Pawłowa. Trudno nie dopatrzeć głębszego znaczenia w tym przypadku: wynalazek druku służy potrzebom intelektu.

Dzisiaj uległa całkowitej repolonizacji kaszta drukarska na Dolnym Śląsku. Drukarni może już tylko wspomnieć przy linotypie, jak nie tak dawno jeszcze, z braku prądu, napędzał ręcznie maszynę płaską. Początkowy okres pionierski, który ulega normalizacji, coraz bardziej prawidłowej, jest zamknięty. Jest on zakończony tak dalece, że możemy go tutaj ujmować w cyfry i sprowadzać do dat w kalendarzu.

Dziś pracują na Dolnym Śląsku 84 zakłady drukarskie. W tej liczbie na sam Wrocław przypada 14 drukarni (ale miarę zniszczenia miasta daje cyfra 117 zakładów drukarskich, które pracowały tutaj do miesięcy obłężenia). Z drukarni, czynnych obecnie, wybija się na czoło wyposażona nowoczesnie drukarnia „Wiedzy”, która tłoczy dwa spośród miejscowych dzienników, poza tym jednak pojawia się szczególnie często na odwrocie karty tytułowej w dzisiejszej produkcji wydawniczej. Wielką sprawność roboczą ujawniają także pod kierunkiem dyr. Mariana Przyślewicza Państwowe Zakłady Graficzne Nr 2, w których drukuje swoje nakłady Książnica Atlas a nawet Towarzystwo Naukowe Warszawskie. W zespole obecnych drukarni wrocławskich miejsce własne posiada Drukarnia Uniwersytecka, która specjalizuje się w czasopiśmie naukowych i literackich, coraz bardziej we Wrocławiu narastających, nie waha się jednak podejmować rzeczy ambitnych i trudnych, jak np. wydawnictwo greckiego tekstu „De stibus” Hermogenesa w opracowaniu krytycznym prof. Jerzego Kowalskiego. Dobrze znamy tę drukarnię z codziennych odwiedzin. Jerzy Kowalski ustawił przed nią satyryczne zwierciadło wkłęsłe w doskonałym artykule „Po kolędach o cudownym narodzeniu

Szkoły Wrocławskiej" (Śląsk, 1946, Nr 10), który w odpowiednim fragmencie powinien być przedrukowany w jakichś „Monumenta Poloniae typographica“, jeżeli ktoś po latach zechce kontynuować wydawnictwo Jana Ptaśnika. Ale wówczas Drukarnia Uniwersytecka we Wrocławiu może stanowić silny i bogaty warsztat produkcyjny, współpracujący sprawnie z uniwersyteckim życiem naukowym. Felieton Jerzego Kowalskiego będziemy czytać jako dokument historyczny. Dzisiaj to jeszcze rzeczywistość.

Pozostałe 70 drukarni przypada „na prowincję“. Wyróżniają się w tej liczbie: Drukarnia „Czytelnika“ w Legnicy, gdzie ukazywał się zrazu „Pionier“, dziennik dolno-śląski, drukowany na maszynie rotacyjnej przez polską obsługę fachową; dalej Drukarnia Państwowa w Nowej Rudzie (pow. Kłodzko), jedna z najpoważniejszych w terenie, doskonale wyposażona, przy której powstanie szkoła graficzna dla kształcenia niepełnych kadr zawodowych. Inne drukarnie państwowe prowincji, np. w Jeleniej Górze, pracują nie tylko dla potrzeb miejscowych, ale umieją także zaspokoić zamówienia wydawnicze „kraju“. Byłoby nawet rzeczą ciekawą obliczyć w cyfrach, jaką to część produkcji drukarskiej ogólnej wziął dziś na siebie Wrocław i Śląsk. Ale cyfr tych nie posiadamy.

Wyposażenie techniczne drukarni, pracujących na ziemi Dolnego Śląska, wynosi 55 maszyn do składania, 158 maszyn drukarskich płaskich, 12 rotacyjnych, 192 tyglówki, 6 maszyn litograficznych, 9 ofsetowych, 14 przedrukarek oraz 693 maszyny pomocnicze (według danych z sierpnia 1946).

Jak zawsze, z ciekawością zapytujemy o ludzi przy maszynach. Czołówka drukarska, przybyła do Wrocławia 9 maja 1945 r., jeła powiększać się rychło i z wielu stron. Już 22. VIII. 1945 r. zebrało się pierwsze zgromadzenie drukarzy w ilości 29 uczestników. Po pewnych przekształceniach organizacyjnych powstał z tej grupy dzisiejszy Okręg Wrocław, z zasięgiem na cały Dolny Śląsk, Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Poligraficznego w Polsce, z szeregiem filii terenowych, z kilkoma sekcjami zawodowymi, własną biblioteką, który — jak wynika ze sprawozdań cytowanych — uporządkował już należycie podstawy organizacyjne i rozwija działalność prawidłową. Na zamknięcie 1946 r. liczył 1784 członków.

W pierwszą rocznicę powstania Okręgu Wrocław ukazała się drukiem — z wielką pieczołowitością o poziom graficzny — bruszura in folio: „Drukarstwo polskie na Dolnym Śląsku“, datowana precyzyjnie: sierpień 1946. Druk ten nawiązuje do dobrych tradycji bibliofilskich w swoim wyposażeniu i kompozycji. Poza artykułem informacyjnym „Rok pracy druczarni na Ziemiach Odzyskanych“ (sc. na Dolnym Śląsku), który był także przydatny dla notatki obecnej, przynosi cenny w dzisiejszym stanie opracowań „Zarys historycznego rozwoju druczarni na Dolnym Śląsku“ pióra dra Bronisława Kocowskiego. Trzeba życzyć, by ów opis z natury rzeczy tymczasowy zastąpiła niebawem rozprawa zasadnicza. Ale świadomość, że pionierów 1945 r. wyprzedziły na Śląsku całe generacje pracowników książki polskiej, jest cenna, a potrafi być twórcza.

Tadeusz Mikulski (Wrocław)